№ 39. Warszawa, dnia 12 (24) Września 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Przygotowania do wielkiej międzynarodowej wystawy, spiesznie postępują w Paryżu. Całe pole marsowe zagrodzone dokoła. Z po za tych ostrokołów wybiega przecież olbrzymia wieża Eifel i ogromne windy do dźwigania w górę żelaznych krat przeznaczonych na ściany. Mnóstwo innych budynków rozmaitego kształtu zapełnia przestrzeń, wszystkie z lanego wykonane żelaza, ugrupowane będą na wielkim placu. Serya cała tych domów, ma odtworzyć w małych rozmiarach część przedmieścia św. Antoniego, jakiem było przed stoma laty; na frontach domów będą charakterystyczne szyldy i godła. W pośród sieci ulic, wznosić się będzie groźna Bastylia, najeżona basztami, a raczej widmo Bastylii w miniaturze. Dziwaczny to pomysł, równie dziwaczny jak wieża Eifel, która ma wyobrażać tryumf przemysłowy dziewiętnastego wieku.

Dwaj znani malarze, Alfred Stefens i Henryk Gerwax, wykończyli kolosalne kartony do obrazu, który mają wspólnie wykonać na wystawę. Olbrzymi ten obraz przedstawi całą historyę ubiegłego stulecia. Ugrupowane będą na nim wszystkie wybitne osobistości, które w ciągu wieku przeważną odgrywały rolę, tak na polu wojennych zapasów, jak w dziedzinie polityki, literatury, nauki, przemysłu i sztuk pięknych. Oznaczono na tych kartonach tysiąc ośmset osób. Wielki obraz ma być wystawiony przez sześć miesięcy, w jednym z pozostałych pawilonów pałacu Tuilleryjskiego.

* * *

Szczególny popęd do stawiania pomników, opanował dzisiaj Francyą. Ma to niewątpliwie piękną stronę, jeśli ów popęd wypływa z chęci uczczenia prawdziwej zasługi, a nie jest jakąś propagandą wprowadzającą w obłęd proste umysły. Ten ostatni charakter ma własnie pomnik świeżo wzniesiony Wolterowi, w mieście Saint-Claude, u podnóża gór Jura. Odkryto go uroczyście 4 Września, w tymże dniu, kiedy Prusacy obchodzili siedmnastą rocznicę tryumfów pod Sedanem. Przypomniało to wielu Francuzom, że uczczony przez nich Wolter, przed stu trzydziestu laty, po klęsce jaką Francya poniosła w Rosbach od Prusaków, że tenże Wolter uczcił wierszem Fryderyka II-go, nazwał go bohaterem północy, winszował mu, że widział *plecy* rycerzy króla francuzkiego. Przypomnienie to rzuciło cień na całą uroczystość. Mimo obecności ministra oświecenia, nastąpiły manifestacye połączone z okrzykiem *vive Boulanger!*

Pięknie za to odbyło się odkrycie pomnika, słynnego geologa sabaudzkiego, Benedykta Samsure, na dolinie Chamouny, na przeciw Mont-Blanc, tytana Alp, wiekuistym pokrytego śniegiem. Towarzystwo miłośników gór, zwane klubem alpejskim, zbudowało ten pomnik na cześć przyrodnika, który sto lat temu w roku 1787, dotarł do szczytu olbrzymiej góry i przebył na niej trzy tygodnie, badając jej pokłady i meteorologiczne zjawiska.

Jedyny tylko człowiek przed Saussurem, wdarł się na te niedostępne w on czas wyżyny. Był nim prosty góral, nazwiskiem Balmat. Chwała jednak należy Saussurowi, on bowiem kierował góralem, wskazywał mu najpewniejszą drogę. Obaj też stojąc obok siebie na pomniku, podają sobie ręce na znak łączności nauki z siłą fizyczną, wspierających się wzajem.

Jeśli Balmat wycisnął pierwszy ślady stóp na śnieżnym grzbiecie alpejskiego olbrzyma, pierwszy Saussure wycisnął na nim pieczęć geniuszu swego.

* * *

Na paryzkim cmentarzu Père la chaise, stanął także pomnik grobowy, przechodzący okazałością

i bogactwem sztuki wszystkie mauzolea paryzkie.

Mówimy tu o grobowcu Thiersa, zmarłego przed laty dziesięciu. Odkryto go 3 Września, w samą rocznicę śmierci, a właściwie mówiąc odkryto fronton świątyni: wnętrze jej zamknięte będzie dla publiczności, wyraźnem zastrzeżeniem fundatorek. Pierwszą z tych fundatorek była wdowa, której trumna, stoi dziś w krypcie obok trumny mężowskiej; drugą siostra jej panna Dosne, spadkobierczyni milionów; Thiers bowiem zapisał żonie ogromny majątek, ta zaś przekazała go siostrze.

Na wzgórzu w pośrodku cmentarza, widzimy wielką świątynię w stylu odrodzenia, wspartą na czterech koryntckich kolumnach, wysoką na czterdzieści przeszło stóp kwadratowych. Dziewięć kamiennych wschodów, prowadzi do pysznych drzwi ulanych ze spiżu. Przed temi drzwiami, w wielkiej arkadzie błyszczy płaskorzeźba, dłuta słynnego rzeźbiarza Chapu.

Przedstawiona tu Francya, wsparta na strzaskanej kolumnie, z chorągwią w lewej dłoni, przed nią na pierwszym planie, geniusz patryotyzmu, z rozwiniętemi skrzydły, składa jej miecz w prawicę. U stóp jej, trup poległego młodzieńca, w głębi płomienia pożaru, symbolizują wojnę.

Płaskorzeźba ta wykonana po mistrzowsku na tak wielkiej płycie marmurowej, że dla jej przewiezienia trzeba było urządzić osobny wagon, dwadzieścia koni przyciągnęło ją na wzgórze.

Ale prawdziwe cuda sztuki, niedostępne dla ogółu, kryją się we wnętrzu świątyni. Te oglądała tylko mała garstka wybranych. Powtarzamy za innymi ich opis. Na dwóch pobocznych ścianach, umieszczone dwie płaskorzeźby dłuta Chapu, wysokie na dwanaście stóp, na jednej w scenie alegorycznej, przedstawiony *wykup ziemi* z rąk pruskich. Po lewej ręce Francya, wsparta na ramieniu Thiersa, po prawej ołtarz ojczyzny, na nim wory napełnione talarami, otwarte w górze. Niewiasty w żałobnych zasłonach ciągną szeregiem, przynoszą ofiary na wykup: są to miasta Francyi. W górze ulata geniusz, wygłasza chwałę męża stanu.

Przeciwległa płaskorzeźba, wyobraża historyą zapisującą w przyszłości imię Thiersa. Wkoło figury symboliczne: wymowa, nauka, polityka, wokoło na ścianach i gzymsach, oznaczony datami i napisami cały życiorys zmarłego, wszystkie jego czyny i prace, od pierwszego wystąpienia w zawodzie historycznym, aż do ostatnich czasów prezydentury. Do tych wielkich dzieł zaliczone ufortyfikowanie Paryża, w roku 1840, które na nic się nie przydało i owa dyplomatyczna podróż po Europie w roku 1870, równie upokarzająca dla Thiersa jak dla Francyi.

Sarkofag umieszczony w otwartej krypcie, przypomina grób Napoleona w kościele Inwalidów. Ten sarkofag z zielonego porfiru stoi na podstawie z porfiru czerwonego. Do krypty, prowadzą monumentalne schody, w stylu egipskim, na wzór odkrytych w piramidach. Z głębi owej krypty wybiega grupa dłuta Antonina Mercier, wsparta na kolumnie marmurowej. Umarły Thiers powstaje na głos nieśmiertelności. Na pierwszym planie opłakuje go Francya.

Wśród tej pogańskiej apoteozy, pozostawiono przecież miejsce i dla chrześciańskiego Boga. Ujednej ściany stoi ołtarz marmurowy a na nim krzyż z bronzu wyrzeźbiony misternie i takież dwa świeczniki. Po bokach dwie marmurowe kropielnice, za ołtarzem maleńka zakrystya.

Głos powszechny powstaje silnie przeciw zamknięciu tych skarbów artystycznych, może być że *vox populi* pokona niewczesny opór fundatorki. Dziwimy się, że wielcy mistrze dłuta przystali na podobny układ.

(*Dokończenie nastąpi.*)

GWIAZDKA ZIEMSKA.

NOWELLA

Ernesta d'Hervilly.

Znękany cierpieniem, gdyż kochał i był zdradzony, postanowił odebrać sobie życie. Gdzie i kiedy nie wiedział sam. Wybrał tylko broń, nosił ją nawet przy sobie od rana, spoczywała ona zamknięta w kosztownym futerale, podobna do drzemiącej żmii, która udaje nieruchomą, gotowa jednak zawsze do ukąszenia.

Jak już wspomnieliśmy nie wybrał czasu ani miejsca, błąkał się więc wśród ulic Paryża bez celu, nie zwracając uwagi na zapadający zmrok, ani na przykry pył uliczny.

Wtem zapach heliotropu wyrwał go z odrętwienia; podniósł wzrok i ujrzał przed sobą pyszną wystawę świeżych kwiatów. Boże! ileż te kwiaty budziły w nim wspomnień rozkosznych i bolesnych zarazem. Ileż razy oddychał z upojeniem ich wonią, gdy zdobiły ciemnowłosą główkę istoty uroczej choć płochej, którą ukochał nad życie.

I przed wzrokiem jego duszy zjawił się obraz młodej kobiety, która z lekkomyślnością dziecka przez lat trzy naprzemian karmiła go szalonemi nadziejami, lub strącała w przepaść rozpaczy, igrając z jego miłością. A jednak nie był on młodzieńcem, dosięgał lat czterdziestu i miłość jego była głęboka i trwała. Lecz kobieta uważała go tylko jako niezbędny dodatek eleganckiej tualety, ceniła go nie więcej od swego wachlarza; widział to jasno teraz.

Myliłby się ten ktoby sądził, że gardziła tą miłością; bynajmniej, uważała ją jak klejnot, harmonizujący z każdem ubraniem, klejnot którego zazdrościła jej niejedna z jej przyjaciołek. Pochlebiała jej to, że mogła ukazywać się wszędzie w towarzystwie wielbiciela, niczem ją niekompromitującego; jedynem jego wynagrodzeniem był anielski półuśmiech, ukradkowe spojrzenie lub nieznaczny uścisk ręki przy podaniu filiżanki herbaty.

Tak więc choć cnotliwa postępowała nieuczciwie, zamiast bowiem otwarcie odjąć człowiekowi zakochanemu nadzieję, odpowiadała na jego gorące wyznania w sposób tak niejasny, że on łatwowierny wziął to za przychylność i sądził, że ich serca zgodnym uderzają akordem.

Rozczarowanie było dla niego tak okropne, że nie chciał żyć dłużej. Teraz zapach ulubionego kwiatu przypomniał mu wszystkie rozkosze które stracił. Jest to historya stara jak świat, mówi Heine, ale która niejedno zdruzgotała serce.

A więc dziś wieczorem skończy się wszystko, powiedział sobie nasz bohatér.

Przyspieszył kroku, wbiegł na dworzec kolei żelaznej, wziął bilet do pierwszej lepszej stacyi jaką przeczytał na karcie, zapomniał wziąć resztę i wsiadł do pustego wagonu, zadowolony, że będzie sam ze swojemi myślami. Lecz w chwili, gdy pociąg miał już ruszać, do tego samego przedziału wpadł człowiek w średnim wieku, zadyszany, spocony, lecz uszczęśliwiony że jedzie, gdyż oczekiwała nań żona, jak to oznajmił odetchnąwszy, swemu towarzyszowi podróży. Żona myślałaby że chory i niepokoiłaby się biedaczka. I wyjąwszy cygara, zaczął częstować sąsiada. Lecz ponury towarzysz grzecznie ale zimno odmówił przyjęcia cygara i rozmowa urwała się wkrótce.

Każdy z nich zajął się czem innem; spóźniony podróżny zapalił cygaro i począł czytać dziennik, a nasz znajomy przypominał sobie, jak w towarzystwie swej ukochanej odbywał jakąś wycieczkę zamiejską po tej samej drodze. Lecz co za różnica wtedy a dziś!

Nareszcie po półtoragodzinnej jeździe pociąg zatrzymał się. Znajomy nasz skłoniwszy się swemu towarzyszowi podróży wysiadł na stacyi. Konduktor zwrócił mu uwagę, że musiał się pomylić, gdyż bilet ten służył mu o wiele dalej.

— Bynajmniej — odrzekł zapytany — tu pragnę się zatrzymać.

Stacya wśród nocy pustą była zupełnie, a że mgła gęsta nie dozwalała nic widzieć przed sobą o kilka kroków, podróżny zwrócił się do kogoś ze służby z prośbą o wskazanie jakiego hotelu.

— Hotel jest ztąd niedaleko, ja pana zaprowadzę — odrzekł służbowy.

Po kilku minutach pochodu wśród głębokiej ciemności, zatrzymali się przed porządnym domkiem.

Gospodyni jakkolwiek trochę zaspana, otworzyła drzwi, wprowadziła gościa i zapytała, czy życzy sobie mieć wieczerzę?

— Nie, pani — odrzekł podróżny — proszę tylko o oddzielny pokój.

Gdy przechodził przez pasażerską salę, gdzie kobiety i dzieci spały, oczekując na pociąg idący do Paryża, zwrócił się jeszcze do gospodyni:

— Zapomniałem panią prosić — rzekł — o butelkę dobrego wina i dwie szklanki.

Gospodyni przyniosła mu wino i odeszła życząc dobrej nocy.

Pozostawszy sam, podróżny nasz wyjął z kieszeni pudełko, otworzył je i przypatrywać się począł narzędziu śmierci, wyrobionemu z całą możliwą elegancyą.

Potem otworzył omszałą butelkę i napełnił szklanki winem.

Jednakże nie był spragniony ani też nie chciał się odurzyć, bo mu nie brakowało odwagi. Przeciwnie, chciał zachować całą zimną krew, aby uniknąć niepotrzebnych cierpień fizycznych.

Cóż więc znaczyło to wino?

Oto budziło ono w nim rzewne wspomnienie, gdyż ojciec jego, ile razy miał mu uczynić jaką surowszą wymówkę, zganić jakiś niewłaściwy postępek, lub oznajmić o ważnym wypadku, kazał go wołać do swej sypialni i zanim zaczął rozmowę, napełniał szklanki wybornem winem i wychylali je obydwaj.

Wśród posępnych wspomnień, pogodna twarz tego nieodżałowanego ojca, stała mu dziś ciągle przed oczami i stosując się do przyjętego przez ojca zwyczaju, znajomy nasz chciał uczcić jego pamięć i rozstać się z życiem, z ukochanem na ustach imieniem.

Gdy zasiadł przy pełnych szklankach i pogrążył się w bolesnej zadumie, zdawało mu się, iż z drugiej strony stołu zjawiła się postać ojca. Tym

razem twarz ta nie uśmiechała mu się dobrotliwie; przeciwnie zalaną była łzami i spoglądała nań z wyrzutem.

Spuścił głowę i słyszał w duszy skargi ojca przypominającego mu, ile to dni i nocy bezsennych przepędzili oboje z matką czuwając nad jego kołyską; ile przyjemności wyrzekli się z rozkoszą aby tylko zapewnić dobrobyt swego dziecka, aby nietylko wykształcić jego duszę, ale także i wzmocnić ciało. I dzięki ich staraniom wyrósł na uczciwego i czerstwego człowieka, a teraz chce zbrodniczą ręką przeciąć pasmo życia, chce zabić to dziecię, którego wesołość i zdrowie były jedyną nagrodą rodzicielskich trudów.

I dla kogo? dla jednej płochej kobiety!

— O wstyd mi za ciebie mój synu, że tak uciekasz przed cierpieniem, zdawał się mówić cień ojca, bo czemże jest samobójstwo? tchórzostwem, ucieczką haniebną przed boleścią; czy nie znajdziesz wznioślejszego celu w życiu nad miłość kobiety, celu któryby cię z tem życiem pogodził?

— O przebacz mi ojcze! — zawołał głośno nieszczęśliwy, lecz żyćbym nie mógł nie widząc jej, nie wierząc w jej miłość.

I łkając jak dziecię pobiegł do okna i otworzył je gwałtownie. Chłodne powietrze nocy orzeźwiło go, dokoła panowała głęboka cisza, mgła gęsta nie dozwalała rozeznać przedmiotów; tylko w oddali, zapewnie z jakiegoś okienka na poddaszu połyskiwało blade światełko.

— Pewnie lampka ta oświetla nędzną izdebkę biedaka zmuszonego pracować nad siły — rzekł sobie — lecz biedak ten szczęśliwszy ode mnie, bo ma spokój w duszy.

Światełko podobne do gwiazdki ziemskiej choć drżące, maleńkie, przyświecało ciągle, przykuwając do siebie wzrok naszego podróżnego.

— Może to nie mężczyzna, monologował dalej, może to jaka nieszczęśliwa kobieta skazana na ciężkie życie z mężem pijakiem, zmuszona zarabiać nocami na swoje i dziecka utrzymanie; może jaka biedna wdowa, której dzienna praca nie wystarcza na suchy chleb dla dzieci; ktokolwiekbądź jesteś schylam czoło przed tobą, co masz odwagę żyć! Nieraz gdy wracasz do domu fale rzeki nęcą cię, w głębi tych wód znalazłabyś zapomnienie; lecz płacz twego dziecka, jego chude rączyny wyciągnięte do ciebie błagają, wstrzymują się od tego rozpaczliwego kroku. I pchasz dalej to ciężkie życie bo masz żyć dla kogo, a ja? jestem sam, sam jeden na świecie.

— A jednak — mówił z ciężkiem westchnieniem — czuję się słabszym nawet od tego dziecięcia; słabszym i nikczemniejszym. Cóż uczyniłem dobrego w życiu? Ja bogaty, niezależny, pomyślałem w chwili rozstania się z tym światem komu zostawię majątek? Nie troszczyłem się o to, bo jestem samolubem; pieniądze moje podług prawa odziedziczyliby ci, co i bez tego mają zanadto; nie lepiejże niemi otrzeć łzy nieszczęśliwych. Ah! czyż ta uboga robotnica nie więcej warta od tej dla której miłości chciałem się zabić!

Podszedł do stołu, dotknął ustami szklanki i ze wzrokiem utkwionym w tę ziemską gwiazdkę szeptał:

— Ktokolwiek jesteś istoto nieznana, która tam cierpisz i pracujesz, błogosławię cię w tej nowej dla mnie chwili życia, gdyż nauczyłaś mnie poświęcenia, wskazałaś mi drogę obowiązku. Prawda, że jestem sam na świecie, z niezgojoną raną w sercu, lecz przysięgam, że nie targnę się na moje życie; wszak mam wzniosły cel przed sobą, mogę dobrze czynić innym. A najpierw twój byt zabezpieczę towarzyszko niedoli, która jednak stałaś się dla mnie gwiazdą zbawienia!

Znużony długą walką moralną, usnął na krześle a gdy się przebudził nazajutrz, dzień był śliczny, mgła opadła, a przez otwarte okno wpadały promienie słońca, igrając na zapomnianym rewolwerze.

Zadrżał na ten widok, lecz przypomniawszy sobie swe postanowenie, z zimną krwią zamknął futerał i schował broń do kieszeni.

— A teraz do czynu, do życia! — zawołał.

I żywo pobiegł do okna, chcąc zobaczyć domek z którego światełko, niby latarnia morska, zaprowadziło go jeśli nie do portu, to przynajmniej do spokojnej przystani.

Patrzał i nie widział nic przed sobą, wśród pól i łąk ciągnących się daleko nie stał żaden dom, ani nawet chatka.

— Byłże to sen? — zapytał sam siebie.

Nie było to jednak złudzenie, lecz to co brał za światło z okienka było blaskiem latarni gazowej na przystani kolei.

Rozśmiał się z tej pomyłki, lecz wierny postanowieniu powiedział sobie, że w miejsce jednego nieszczęśliwego znajdzie dziesięciu, którym los osłodzi.

I smutny lecz spokojny wrócił do Paryża, aby nowe rozpocząć życie.

KONIEC.

KOPALNIE DYAMENTÓW W AFRYCE.

Dyament ze wszystkich minerałów jak wiadomo jest najtwardszym i dlatego przez Greków zwany był niezwyciężonym *adamas*, gdyż rysuje wszystkie minerały a żadnym narznąć się nie daje. Przezroczysty w rozmaitym stopniu aż do przeświecania, blask ma szczególnie żywy, napotykany i w innych minerałach ale nigdy w takim jak u niego stopniu. Zwykle bezbarwny z lekkim odcieniem zielonawym, żółtawym lub mniej więcej szarawym, rzadko bywa różowy lub mocno zielony a najrzadziej błękitny.

Dyament niebieski ważący tylko 4 i pół karata odznaczający się świetnością swojej wody, oceniony został na 150,000 rubli. Są także dyamenty zupełnie czarne, najtwardsze a więc i najtrudniejsze do szlifowania.

Blask szlifowanego dyamentu, odróżnia się na pierwsze spojrzenie od wszelkich innych drogich kamieni, mimo tego nieraz bezbarwne topazy, szmaragdy i szafiry podstawiano za dyamenty i jako takie przedawano. Wprawdzie twardość dyamentów jest tu cechą stanowczą, ale fałszywych bez popsucia sprawdzić niepodobna. Są jednak inne cechy odkrycia podstępu. I tak topaz przez tarcie silnie się elektryzuje i nie traci tej własności aż w kilka godzin, dyament zaś w kilka minut elektryczności pozbywa się bez śladu. Szmaragd jest lżejszy, szafir zaś cięższy, wreszcie kąt polarazacyi dla każdego z tych minerałów jest inny.

Dyamenty rozsiane są w piaskach stanowiących dawne napływy; dotąd najwięcej przywożone były z Brazylii i Indyi wschodnich, w ostatnich latach największej ilości dyamentów dostarcza Afryka środkowa.

Wykazał to Ernest Weber, który na posiedzeniu towarzystwa popierania interesów niemieckich w Afryce środkowej oznajmił, iż w wielkich kopalniach w Afryce w ostatnich 16 latach wydobyto dyamentów za 400 milionów marek niemieckich, ogólnej wagi 17 i pół miliona karatów, czyli 72 centnarów.

Ogólna waga dobytego z kopalń materyału, wynosiła w tymże czasie 400 milionów centnarów, czysty dochód zaś ze sprzedaży dyamentów dosięgnął pokaźnej sumy 40 milionów marek.

Kopalnie dyamentów przynosiły tak ogromny dochód w czasach, kiedy eksploatowali je sposobem rabunkowym pojedyńczy przedsiębiorcy, od czasu zaś, kiedy kopalnie owe objęły towarzystwa akcyjne, które zaprowadziły racyonalną gospodarkę i przywołały fachowo uzdolnionych górników, dochód ów wzmógł się tak dalece, że w miesiącu Wrześniu roku 1886-go dobyto dyamentów za sumę 5,765,000 marek.

Poszukiwano ich tu i owdzie, nawet w głębokości 600 stóp pod powierzchnią ziemi. Ernest Weber obliczył, iż w Afryce istnieje aż 50 towarzystw akcyjnych z kapitałem 40 milionów marek, utworzonych jedynie celem poszukiwania dyamentów. Niektóre z tych towarzystw poczęły robić świetne interesa. Dość wspomnieć, że akcye jednego z nich, ustanowiona na 20 marek każda, (przyczem potrzeba było składać zaraz tylko po 5 marek na akcyę a resztę póżniej) w krótkim czasie podniosły się do ceny 1,500 marek i dopiero w ostatnich czasach kurs ich spadł do 800 marek.

Obecnie pracuje w kopalniach owych około 16,000 robotników, po największej części Anglików. Nic dziwnego, że wobec tak świetnych rezultatów około 1,000 tak zwanych „prospectors“ objeżdża Afrykę środkową wzdłuż i wszerz, szukając nowych kopalni.

Skoro poszukiwania ich pomyślnym uwieńczone zostaną skutkiem, starają się o pozyskanie od władzców miejscowych pozwolenia na dobywanie dyamentów, które następnie sprzedają towarzystwom akcyjnym, posiadającym odpowiednie kapitały.

Dyamenty leżą zwykle w piaskach pomieszanych z krzemieniami. W Brazylii znaczne bardzo zajmują przestrzenie: przed trzydziestu laty znaleziono również piaski dyamentowe w Syberyi na zachodnim stoku Uralu, ale te jako niedające spodziewanych zysków, zaniedbane zostały. Ceny drogich tych kamieni ciągle zwiększające się, zależą naturalnie od ich wielkości i oszlifowania.

Jednokaratowe płacą się około 300 franków, dwukaratowe 800, trzykaratowe 1500, ośmiokaratowe 10,000 franków. Kolorowe piękne są jeszcze droższe, mające od 12 do 20 karatów stanowią rzadkość, a ważących więcej jak sto karatów znamy tylko kilka.

Największy ze znanych jest dyament *radży Mutan* na wyspie Borneo, waży przeszło 300 karatów. Dyament *wielkiego mogoła* waży 280 i ceniony był na 3 miliony rubli. *Orłów* dyament korony rossyjskiej, waży 193 karatów, jest wielkości gołębiego jaja, kupiony został przez cesarzowę Katarzynę za 600 tysięcy rubli i 25 tysięcy dożywotniej pensyi. Dyament *Wielki książę toskański* własność cesarza Austryackiego, waży 139, ma odcień żółtawy i ceniony jest na 600 tysięcy rubli. Dyament korony francuzkiej *Regent*, waży 136 karatów i uważany za najpiękniejszy klejnot w Europie, ceniony jest

na pięć milionów franków. Należący wreszcie do królowej angielskiej, zwany *Koh-i-noor* czyli *Góra światła*, ważył po pierwszem oszlifowaniu 186 karatów, ale nie odznaczał się pięknym blaskiem z powodu złego wykonania roboty, z tego powodu poddano go powtórnemu oszlifowaniu, w którem blizko trzecią część tej wagi stracił i obecnie waży tylko 123 karaty.

DZIECI PANA RADZCY.

(OBRAZEK Z ŻYCIA MIEJSKIEGO)

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg.)

Ja też ci wierzę, lecz...

— O cóż mamie idzie? — spytał niechętnie.

— Tak nagle, tak prędko. Obawiam się, że Stasia nie da się odrazu przekonać.

— Ha! jak jej się podoba! Wolno jej przyjąć lub odrzucić to szczęście... boć przyzna mama, że taka partya to szczęście.

— Zapewne.

— Stasia jak Stasia — rzekł pan inżynier — młoda, niedoświadczona, prawie dziecko, zresztą pod wpływem braciszka; ale mama rozumie o co idzie.

— No tak, zapewne... starać się będę wszelkiemi sposobami, żeby ją przekonać.

— Ja też liczę na to w zupełności i jestem pewny pomyślnego skutku zabiegów.

Radzczyni westchnęła.

— Właśnie teraz, jak Stasia powróci, znajdzie mama doskonałą sposobność do pomówienia z nią: ja, żeby nie przeszkadzać, wychodzę.

— Prędko wrócisz?

— Nie wiem, prawdopodobnie jednak wrócę późno. Wstąpię do klubu, gdyż chciałbym się przekonać czy nie kursują jakie niepotrzebne plotki.

— Tak, masz słuszność, w klubie najprędzej mogliby coś wiedzieć.

— Jeszcze jedno, gdyby Stasia nie dała się odrazu przekonać, to niech mama wezwie na pomoc moją żonę.

— Janinkę?

— Tak, ona poprze argumenta mamy.

— Niewiele mam wiary w jej wymowę.

— Zdaje się mamie, potrafi ona być bardzo elokwentną w potrzebie, mówię to z własnego doświadczenia. Naturalnie na mamę więcej liczę aniżeli na nią, ale zawsze może panie we dwie, wspólnemi siłami, prędzej dojdziecie do pożądanego rezultatu. Zostawiam więc mamie plac boju i uciekam, w nadziei że powróciwszy, powinszuję zwycięztwa.

Powiedziawszy to pan inżynier wyszedł.

Radzczyni zostawszy sama w salonie, zapadła w głęboką zadumę. Oparła głowę na rękach i siedziała nieruchomie.

W przeciągu kilku godzin doznawała tylu wrażeń, że nawet jasno sprawy sobie zdać z nich nie mogła. Przytem zamierzona stanowcza rozmowa z córką, napełniała ją także niepokojem i trwogą.

Jak jej powiedzieć, jakiemi słowy przekonać jeżeli się nie zgodzi, jaki moralny nacisk wywrzeć jeżeli opierać się będzie?

Radzczyni, aczkolwiek pragnąca blichtru, do którego całe życie przyzwyczajona była, aczkolwiek lubiąca zbytek a przynajmniej jego pozory, pojmowała jednak bardzo dobrze, że niełatwo będzie namówić młode dziewczę, aby zaledwie na progu życia już się tego życia wyrzec miało; przytem w sercu radzczyni budziło się uczucie macierzyńskie. Ono kładło swoje veto, ono nie pozwalało aby młodziutką, pełną sił, życia i energii istotę, łączyć dozgonnym węzłem z człowiekiem schorowanym i cierpiącym, przeżytym i zgorzkniałym przedwcześnie.

Wprawdzie pan inżynier bardzo mądrze tłomaczył, że młodość przemija szybko, a dostatki uprzyjemnić mogą całe życie, aż do ostatniej chwili prawie, ale radzczyni czuła, że ten argument całkiem słuszny z pozoru, do przekonania Stasi trafić nie może.

W ogóle trudno jest bronić sprawy, niemając przeświadczenia o jej słuszności.

Pani inżynierowa ze Stasią powróciły z miasta. Pierwsza udała się zaraz do dzieci, druga zarumieniona, wesoła, wbiegła do salonu i rzuciła się matce na szyję.

— Powiadam mateczce — rzekła — ubawiłyśmy się wybornie. Dawno już tak serdecznie nie śmiałam się jak dzisiaj!

— Przecież byłyście w sklepie.

— Tak, ale wypadek chciał, że znalazło się tam kilka pań znajomych. Naturalnie rozmowa, w trakcie tej znowuż przyszło kilka osób. Kupiec, kupcowa i wszyscy subjekci nie mogli wyjść z podziwu. .

— No, dlaczego?

— Zdawało im się, że całe towarzystwo tutejsze... nie! źle się wyrażam moja mamo, że cała śmietanka towarzystwa tutejszego dała sobie rendez-vous w tym sklepie.

— To szczególne...

— Przypadkowo tak się złożyło. Tutejsze panie zwykle po obiedzie, w braku lepszego zajęcia puszczają się na wędrówki po sklepach. Janinka powiada, że to się oddawna praktykuje. Chodzą, przeglądają, kupią jaką bagatelkę a najczęściej nie kupią nic i powracają do domu.

— Także dziwna przyjemność.

— Ależ jest, jest przyjemność, zaraz mateczce powiem. Wędrując po sklepach, nie mija się nigdy wielkiego magazynu Fajngolda. U niego właściwie jest główna stacya.

— Jakto stacya?

— Stacya poczty pantoflowej, telegrafu miejskiego, jednem słowem stacya. W sklepie Fajngolda zbiegają się główne nitki wszelkich plotek w jedno ognisko i ztamtąd znów rozbiegają się na wszystkie strony miasta, naturalnie przefiltrowane odpowiednio, ulepszone i udoskonalone.

— Zkąd ty to wiesz, moja Stasiu?

— Janinka wtajemniczyła mnie dziś w te szczegóły, inaczej nie wiedziałabym wcale, że taka wspaniała instytucya znajduje się w naszem miasteczku.

— Czy Janinka często chodzi do owego sklepu?

— Bardzo rzadko i w tem właśnie jest powód mojej wyjątkowej wesołości.

— Nie rozumiem.

— Zaraz mamie wytłomaczę: Janinka zawsze liczyła się tu do arystokracyi a tembardziej teraz. Ja jak mamie wiadomo jestem przecież milionowa panna. Cóż dziwnego zatem, że jakieśmy się po kazały na ulicy, przyglądano się ze wszystkich okien. Nie żarty moja mamo, takie dwa słońca jak my!

Radzczyni uważnie spojrzała na córkę. Czyżby i ona nie wierzyła temu co Czesław donosi.

— Więc, proszę mateczki — mówiła dalej Stasia — jak nas zobaczono, zrobił się zaraz wielki ruch. U Fajngolda w sklepie było pełno. Wszystkim paniom wypadło robić sprawunki, a że za paniami zwykle ciągną panowie, więc na poczekaniu sklep zamienił się w salon.

— Wyobrażam sobie radość właściciela, musiał sporo zarobić przy tej okazyi.

— Sądzę że przeciwnie, moja mamo.

— No.

— Bo tak gorliwie zajmowano się sprawami bliźnich, a zwłaszcza nieobecnych, że każdy mógł zapomnieć po co właściwie przyszedł. Ale cóż tam, mało mnie obchodzi czy pan Fajngold zarobił wiele, czy stracił, dość że ubawiłam się jakby na jakim raucie. Brakowało tylko muzyki i deklamacyi.

— Uważam, moja Stasiu, że jesteś dzisiaj bardzo wesoła — rzekła radzczyni z westchnieniem.

— Czyż to mamę smuci?

— Co znowu! nie smuci mnie wcale, przeciwnie... tylko widzisz, moja droga...

— Tylko co, mateczko?

— Twoja wesołość, właśnie dzisiaj, to jest nawet nie dzisiaj, ale w tej mianowicie chwili, nie jest mi na rękę...

— Ah mamo! gotowa jestem zasmucić się, a nawet rozpłakać, jeżeli to mamie przyjemność sprawić może.

To rzekłszy Stasia, zarzuciła rączki na szyję radzczyni i serdecznie całować ją zaczęła.

— Zawsze jesteś dziecko — rzekła wpół nadąsana a wpół rozczulona radzczyni — dziecko! tylko dziecko.

— A czem mam być dla ciebie, droga mamo? Całe życie pragnęłabym pozostać tą samą małą Stasią.

— Moja droga, a ja właśnie chciałabym cię widzieć osobą zastanawiającą się, poważną, trzeźwo zapatrującą się na przyszłość.

Stasia zrobiła komicznie poważną minkę. Usiadła na fotelu prosto, sztywnie i naśladując ruchy swego szwagra, rzekła:

— Jeżeli idzie o obowiązki, to jestem gotowa, tylokrotnie wspominałam już, że wedle definicyi największych mędrców starożytnych, obowiązek jest to... panie dobrodzieju, iż się tak wyrażę... przedewszystkiem obowiązek...

— Stasiu! Stasiu! — rzekła z wyrzutem radzczyni — ty się śmiejesz, a doprawdy jest przedmiot, o którym należałoby poważnie pomówić.

— O cóż idzie, mateczko?

— O ważne rzeczy, kochanie, idzie o całą przyszłość twoją.

— Moja mamo, przyszłość jest w ręku Boga.

— Zapewne... ale czyż nas to uwalnia od obowiązku myślenia o sobie.

Stasia przybrała minkę, tym razem na seryo poważną.

— Nie rozumiem co mama chce przez to powiedzieć — rzekła.

— Posłuchaj więc.
— Jestem zawsze na rozkazy mamy.
— Doszłaś już do tego wieku, w którym należałoby pomyśléć o ustaleniu losu.
— Ja wiem o tem, mamo, a co się tyczy losu mego, zawsze zastanawiam się nad nim.
— Cóż ty mogłaś dla siebie obmyśléć?
— Myślałam...
— To rzecz matki, jako opiekunki twojej.
— Jeszcze nigdy nie rozmawiałyśmy o tem.
— Uważałam że czas na to nie przyszedł.
— A dziś mateczko?
— Dziś co innego i czas nadszedł i położenie twoje się zmieniło.
— Podług mnie w niczem.
— O nie, kochanko, zupełnie inne jest położenie biednej dziewczyny, a inne panny majętnej i posażnej.
— Posażnej — rzekła z ironią.
— Tak! Biedna czeka aż ją kto wybrać raczy, panna posażna sama wybiera. Ty właśnie jesteś w tem położeniu, że wybierać możesz i dlatego właśnie chciałam dziś z tobą pomówić.
— Ależ mamo, kogóż mam wybierać, gdy nikt nie stara się o mnie?
— Chyba widziéć nie chcesz.
— Istotnie nie widzę, niech mama wymieni kto się tak o moją rękę dobija.
— Wymienię, pierwej jednak chciałabym się zapytać...
— O co, mamo?
— Powiedz mi, ale otwarcie, szczerze, czy serce twoje jest wolne?
— Mama wie dobrze — odrzekła spuszczając oczy.
— Wiem, że byłaś zajęta tym panem... Kazimierzem.
— O! to już przeszło, mateczko.
— Bezpowrotnie?
— Mogę mamę zapewnić, że dziś ten człowiek jest mi zupełnie obojętny.
— Szczerze to mówisz?
— Najszczerzej, mamo.
— I po nim nikt ci się nie podobał, nikt cię bardziej nie zajął?
— Nikt a nikt, mamo.
— Więc nie kochasz nikogo?
— Mamę... Janinkę... Czesia...
— A nie przychodzi ci nigdy myśl wyjścia za mąż?
— Nie, mateczko.
— Ciężar spada mi z serca. Wobec tego coś powiedziała przed chwilą, misya moja znacznie będzie łatwiejszą.
— Nie wiem co mama chce przez to powiedziéć.
— Moja Stasiu, panienki w twoim wieku bywają egzaltowane, ty jak sądzę wolna od tego jesteś...
— O mamo! nasze pokolenie dzisiejsze, jest bardzo, bardzo trzeźwe, może za trzeźwe nawet.
— Tem lepiej.
— Może tem gorzej, mateczko.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Z przyjemnością, farsa w 4-ch aktach G. Mozera, przyswojona scenie naszej przez L. Śliwińskiego.

Jeżeli francuzcy pisarze dramatyczni, wutworach swych zawsze zalecają się zręcznym, lekkim, swobodnym i niewymuszonym komizmem, to niemieccy zwykle dbają w pracy swej o myśl przewodnią z dobrem ogólnem na celu.

W farsie zatytułowanej „Z przyjemnością", autor założył przekonać słuchaczy, że niezgoda w małżeństwie zatruwając pożycie sprzeczkami, wywołując wzajemną nieufność, jest wielkiem złem narażającem często małżonków na śmieszność a nieraz i na smutne z tego następstwa. Zadanie godne uznania a za czynnik wywołujący najczęściej nieporozumienia, autor wziął zazdrość, tę jadowitą gadzinę jadem swym człowieka rozumnego przemieniającego w głupca.

Otóż takiem małżeństwem z powodu zazdrości małżonka niczem nieuzasadnionej, żyjącem z sobą cokolwiek na bakier, są państwo Olscy świeżo pobrani.

On młody człowiek zakochany w żonie po uszy i równie przez nią kochany, zaczyna ją posądzać o miłostki potajemne z Emilem Cienkuszem, który zaleca się ale do siostrzenicy Olskich, panny Heleny, ani myśląc nawet o jakichś podejrzanych umizgach do samej Olskiej.

Gdy więc ta oznajmia mężowi konieczność wyjazdu do wód leczniczych razem z Heleną, Olski oświadcza, że *z przyjemnością* zezwala na to, chociaż przypuszcza schadzkę z Emilem w podróż się także wybierającym za swą ukochaną.

Julia Olska odjeżdża więc z Heleną, za niemi podąża Emil a w kilka dni później sam Olski, ogoliwszy brodę i zmieniwszy ubranie, przybywa i pewny, że w tej przemianie nie zostanie poznany, przedstawia się własnej żonie jako malarz Żarski tak łudząco, że tak Julia, jak i Helena i Emil nawet nie są pewni kim jest ów mniemany malarz, czy Żarskim rzeczywiście, czy też Olskim dyszącym zazdrością.

Następują więc badania i dochodzenia, żona z ciotką Apolonią biorą do pomocy Emila i przyrzekając poparcie w staraniach o rękę Heleny, znaglają go do wykradzenia mniemanemu Żarskiemu chustki z kieszeni dla przekonania się z cyfr o tożsamości jego a potem, do wybrania z walizki bielizny także dla poznania jej znaków, słowem do ciągłej czujności dla wykrycia prawdy jasnej jak słońce a jednak przez nich nieuznawanej.

W farsach to rzeczy zwyczajne, zdarzają się podobne nieprawdopodobieństwa i uchodzą, ale pod warunkiem, że okraszone dowcipem i zręcznością układu śmieszą, rozweselają i mimowoli ręce ściągają do oklasku.

Tak się też dzieje w scenicznym tym utworze. Oleski w przybranej roli Żarskiego, plącze się, wikła, na domiar złego, przyjeżdża jakiś prawdziwy Żarski, ztąd zamieszanie zwiększa się, intrygi, podstępy występują na wierzch, wszystko zwraca się przeciw zazdrośnikowi i tak go mota w sidłach, że sam wreszcie Olski traci świadomość siebie i uznany za waryata dostaje się pod klucz dla obserwacyi. Wszystko się wreszcie kończy pomyślnie, małżonkowie godzą się, przyrzekając unikanie wszystkiego, co staje się powodem nieporozumienia, Emil dostaje rączkę Heleny a widzowie rozchodząc się, dziwią się i śmieją sami z siebie, że się śmiać mogli bez przerwy prawie przez cztery akta dość długie.

Przyswojenia farsy tej pan Śliwiński bardzo zręcznie dokonał, akcyą przeniósł na nasz zagon, dodał własnych dowcipnych pomysłów i o ile mógł zatarł niemieckie sztuki pochodzenie. W odegraniu Olskich wybornie sprawili się p. Leszczyńska i p. Śliwiński; pan Turczynowicz bardzo dobrze oddał rolę Emila, to samo pp. Borkowska, Sikorski i Grubiński a wreszcie i panna Sznage była wielce milutką w naiwnej roli Heleny.

G.

JUBILEUSZ DON-JUANA

W SALZBURGU.

Z powodu zamierzonego obchodu uroczystego setnej rocznicy przedstawienia Don-Juana, prasa niemiecka rozpisuje się obszernie o genialnym twórcy tego arcydzieła muzycznego, znanego i u nas dobrze i zawsze mile słuchanego.

Geniusze są własnością całej społeczności, przytoczymy więc tu niektóre szczegóły dotyczące tego sławnego muzyka wielkie i u nas mającego uznanie.

Mozart urodził się dnia 27 Stycznia 1756 roku w Salzburgu i już w czwartym roku życia, ojciec jego, będący poddyrektorem orkiestry arcybiskupiej, uczył go grać na fortepianie i przez to tak się w nim zamiłowanie muzyki rozwinęło, że wprędce stracił ochotę zupełnie do figlów i zabaw dziecinnych. W ciągu dwóch lat też tak postąpił, że we dwa lata później, mając lat 6, ojciec zabrawszy go i siostrę jego Maryą Annę, równą mu uzdolnieniem, wyjechał dla dawania koncertów do Wiednia, później do Paryża i Londynu. W dziewiątym roku życia, objeżdżał całe Niemcy, Włochy i wszędzie był przyjmowany z największym zapałem. W roku 1779 mając lat 23, stale z rodzicami zamieszkał w Wiedniu powołany na cesarskiego kompozytora pokojowego z płacą roczną 800 reńskich wynoszącą.

W Wiedniu najwięcej też kompozycyą się zajmował: tam to skomponował pomiędzy bardzo wielu kompozycyami opery: Wesele Figara i Don-Juana, przedstawionego w Salzburgu po raz pierwszy w roku 1787.

Ostatniem jego dziełem było Requiem, którego już dla choroby dokończyć nie mógł i trawiony gorączką zmarł dnia 5 Grudnia 1791 roku, mając lat niespełna 35.

Zamierzony obchód jubileuszu, przypadający właściwie 29 Października r. b., obchodzony będzie uroczyście już w dniu 25 b. m. w Salzburgu, jako rodzinnem mieście tego nieporównanego mistrza tonów.

Projektowanem jest mianowicie „wzorowe" wystawienie tej opery, z udziałem najcelniejszych śpiewaków, zgromadzonych z całych Niemczech. Przygotowania do obchodu tego już się prowadzą

od dłuższego czasu, a sam fakt jubileuszu dostarcza dziennikom niemieckim mnóstwo materyału do wspomnień z żywota Mozarta.

Niektóre z nich, jako mniej znane, warte są zaznaczenia. Do takich należy przedewszystkiem rzut oka na stosunki materyalne, w jakich mistrz pozostawał pod koniec swego żywota.

W wielu jego życiorysach rozszerzono błędne wieści, iż autor „Wesela Figara" żył w Wiedniu w biedzie i nie cieszył się wcale uznaniem, na jakie geniusz jego zasługiwał.

Że współczesnym, jak to zwykle bywa, dość dużo brakowało, aby mogli należycie ocenić wielkość Mozarta, to nie ulega wątpliwości. Mimo to, jak sam mistrz w listach swych przyznaje, byt jego w Wiedniu jak na owe czasy, był jako tako zabezpieczony. W liście, pisanym ze stolicy austryackiej przed stoma laty, 4 Sierpnia 1787 roku, do siostry swojej, powiada Mozart: „Cesarz zaliczył mnie do swego dworu, a nawet opatrzy formalnym dekretem, przeznaczając mi na początek tylko 800 guldenów pensyi. Więcej tu jednak nikt na dworze nie ma" i t. d.

W innym znów, nieco wcześniejszym liście do ojca, pisze: „Porobiłem tu najpiękniejsze znajomości, jestem przyjmowany i lubiany w najpierwszych domach, okazują mi wszelkie możliwe honory, a przytem jestem dobrze płatny, miałbym więc kusić się o owe 400 guldenów w Salzburgu?..."

Stary papa Mozart, odwiedzając syna w Wiedniu, pisał do rodziny: „Sądzę, iż Wolfgang, jeżeli nie ma długów do płacenia, będzie mógł obecnie 2,000 guldenów odłożyć do banku; pieniądze tu pewne..."

Niestety, miał „Wolfgang" długi, jak każdy prawy syn Muz i Apolina, projektowane więc „odłożenie" do skutku nie przyszło. Ale spotkała Mozarta wkrótce nominacya na kapelmistrza katedry św. Szczepana, a pensya do urzędu tego przywiązana, poratowała znowu fundusze mistrza.

Mimo to życie „rzeczywistego kompozytora nadwornego" (taki tytuł miał Mozart) nie upływało bez kłopotów. Ani „Wesele Figara", ani nawet „Don Juan" nie podobały się zbytecznie ówczesnym słuchaczom; dopiero „Flet zaczarowany" zyskał powszechny poklask, opera ta bowiem więcej trafiła do smaku ówczesnemu wykształceniu publiczności.

Najwięcej jednak przepaść, dzieląca nasze czasy od przedstuletnich, uwydatniła się przy śmierci Mozarta.

Mistrz zmarł w nocy z 4 na 5 Grudnia 1791 roku, na febrę gorączkową. Małżonka jego, dotknięta tym ciosem i przytem niezdrowa, nie mogła towarzyszyć zwłokom na cmentarz; obaj synowie byli jeszcze wówczas małemi dziećmi, a przyjaciołom (jak opowiada świadek współczesny) przeszkodziła do przyjęcia udziału w pogrzebie, wielka śnieżna zawieja (!!).

I oto stało się, iż ten mistrz tonów pogrzebany został bez żadnych śpiewów, muzyki lub uroczystości, jak najzwyklejszy biedak! Małżonka (późniejsza pani v. Nissen) zdołała się następnie z trudnością tylko tyle dowiedzieć, że wielki mąż jej pogrzebany został na cmentarzu św. Maksymiliana, ale grobu już nie zdołano odszukać.

W sprawie czystości naszej mowy,

PRZEZ

L. S. W.

W używaniu przypadku 5 na *u* od imion żeńskich zdrobniałych panuje nadużycie. Czytamy bowiem często: *Helu, Józieczku, Zosieńku* i t. p. Dotychczasowy zaś zwyczaj, dobre wzory i gramatyka uczą, że takie zakończenie mieć mogą jedynie zdrobniałe, kończące się na *a z poprzedzającą spółgłoską, zmiękczoną za pomocą i*, a więc: *Mania — Maniu, Zosia — Zosiu, Józia — Józiu*, i t. d. Nie należą tu więc zakończone na *la* i jak mówimy: *Lolo, Izabelo, Arabelo*, tak samo jedyną prawidłową formą będzie *Helo* od *Hela, Halo* od *Hala, Karolo* od *Karola;* a tem mniej jeszcze mogą należeć do powyższej kategoryi imiona chociaż zdrobniałe, ale zakończone twardo, jak: *Józieczka, Zosieńka* i t. d. od których wyłącznie prawidłowy przypadek 5 brzmi: *Józieczko, Zosieńko* i t. d.

Widocznie owo krzewiące się nadużycie wychodzi z błędnej zasady stosowania wyjątkowego zakończenia *u* do wszystkich w ogóle imion zdrobniałych, bez względu na różnice fonetyczne. A może tu, świadomie lub bezwiednie, działa dążność do ujednostajnienia form żeńskich z męzkiemi, prąd emancypacyi czy też równouprawnienia, nawet w dziedzinie mowy? Może to ten sam prąd naśladowczy, który w dziedzinie mody przyswaja kobietom rozmaite części ubrania męzkiego i wytwarza nieistniejące dawniej imiona niewieście po prostu z przypadku 2-go imion męzkich, jak np. Władysława, Alfonsa, Alfreda, Leonarda?

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

W zeszłą niedzielę, dnia 18 b. m. o godzinie pierwszej w południe, odbyło się urzędowe otwarcie Wystawy nasion, już dawno zapowiadane. Aktu tego dopełnił jenerał gubernator warszawski jenerał adjutant Hurko, w obec zaproszonych przedstawicieli władz, ziemian, członków prasy, członków komitetu, sędziów i wystawców.

Urządzenie całe przedstawia się bardzo ponętnie, szczególniej jednak uderza dorodność ziarna przeróżnych odmian pszenicy, żyta, owsa, jęczmienia, ziemniaków, grochu i chmielu. Najlepiej jednak przedstawia się pszenica, której około 40 odmian znajduje się. Ziarn innego zboża jakkolwiek bardzo pięknego, w mniejszej daleko liczbie odmian dostarczono, z ziemniaków zaś odznacza się jeden z nich gatunek nadzwyczajną wielkością, zwany Cud świata, nadesłany przez pana Gustawa Mazurkiewicza z Niedrzwicy Kościelnej.

Chmielu zamało dostawiono a spodziewano się go więcej, ze względu, iż piwowarzy postanowili używanie do fabrykacyi piwa wyłącznie chmielu krajowego.

Co do ilości, 39 ziemian występuje na wystawie z pszenicą, 30 z żytem, 24 z owsem, 22 z jęczmieniem, 31 z roślinami strączkowemi: grochem, wyką, łubinem, bobikiem, 18 z nasionami roślin oleistych: rzepakiem, makiem, lnem i t. p., 19 z nasionami traw i roślin pastewnych, 22 z roślinami okopowemi: jak marchew, kartofle, buraki, 11 z burakami cukrowemi, 11 z kartoflami gorzelniczemi, 9 z chmielem, 4 z nasionami drzew leśnych, 2 z mąką, z krochmalem, olejami, drożdżami, owocami i sokami.

Najzasobniej wyglądają zbiory Ludwika hr. Krasińskiego, które zajmują prawie cały pokój. Pochodzą one z Osmoliniec w powiecie Garwolińskim, z Krasnego w Ciechanowskim i z Ursynowa pod Warszawą, zkąd pola próbne dają różne rzadkie dotąd u nas nasiona.

Z innych kollekcyi największe są pana Jana Górskiego z Woli Pękoszewskiej, Augustowej hr. Potockiej z Willanowa, pana Gustawa Mazurkiewicza z Niedrzwicy Kościelnej, zbiory oryszewskie i pana Konstantego Śliwowskiego ze Skordyowa.

W ogóle pojedyńczy wystawcy zgromadzili swoich okazów więcej niż na zeszłorocznej wystawie, jednakże całość była zeszłego roku bogatszą. Wystawców zagranicznych, który mieli tak wielkie zbiory, w tym roku wcale nie ma.

Ogólna liczba wystawców wynosi 85, gdy w roku zeszłym sięgała 114.

Do czego próżniactwo prowadzi, dowiodło najlepiej pewne grono młodych ludzi, należących do bardzo zamożnych rodzin, jak tego domyślać się można, którzy przez cały tydzień zwracali na siebie ogólną uwagę Warszawy.

Otóż zeszłej niedzieli, po obiedzie, widocznie dobrym i wesołym, dziewięciu z nich przy kawie czarnej spisało pomiędzy sobą umowę, na mocy której ten z nich, który najdłużej bez snu wytrzyma, wygra stawki złożone przez uczestników zakładu w wysokości 5 rs., czyli razem 45 rs. Noce miano spędzać jak najweselej razem, a w dzień każdy ze stających do konkursu, miał pozostawać pod kontrolą osób, do zakładu bezpośrednio nie wpływających. Noc z niedzieli na poniedziałek, naturalnie wszyscy bohatersko wytrwali bez poduszki, w poniedziałek jednak już jeden z drzemnął się, a więc stracił prawo do dalszej próby; we wtorek, t. j. po 48 godzinach od chwili zakładu, wycofało się trzech uczestników, tegoż dnia wieczorem zdrzemnął się jeszcze jeden, tak, że we środę po trzech nieprzespanych nocach konkurowało już tylko trzech szermierzy. Ponieważ i w tym dniu zdrzemnął się jeden, przeto na czwartą noc pozostało tylko dwóch rywalów. Zainteresowanie się wygraną rosło. Zapaśnicy niezależnie od nagrody jaka miała przypaść zwycięzcy ze składek, założyli się pomiędzy sobą o 25 rs., a „na boczku" porobiono liczne zakłady. Zapaśnicy ogromnie znużeni, wyczerpani, bez apetytu, cały dzień czwartkowy spędzili na powietrzu; obaj żywili się tylko samemi chłodnemi i orzeźwiającemi napojami, unikając miękkich siedzeń, gdyż te ich do snu uspasabiały. Pan D., jeden z zapaśników, który zdawał się być silniej zbudowany, zupełnie ochrypł i mówił cicho; drugi zapaśnik, p. T., lepiej się trzymał. W piątek rano już D. utrzymywał, że dłużej jak do wieczora walczyć nie będzie, ale nie dotrwał do tego terminu i o godzinie 3-ej po południu w restauracyi przy obiedzie usnął. T. w tym-

że czasie przechadzał się wraz ze swoim nadzorcą po ogrodzie Saskim. D. odwieziono nieprzytomnego do domu, a następnie dano znać T., że został zwyciężcą. Po pięciu nieprzespanych nocach D. stracił na wadze 7, a T. 6 funtów; obaj uskarżali się na ból w krzyżu i nogach, oraz na szum w uszach.

Środki lekarskie zaaplikowane na razie, ograniczyły się na odpowiednich rozcieraniach. D. spał od 4 po południu w piątek do godziny 7 rano w sobotę, T. zaś od godziny 6 po południu w piątek do 11 w południe w sobotę. D. jest zagrożony zapaleniem mózgu, T. uskarża się na różne dolegliwości, obaj jednak pozostają w łóżku.

Takie nadużycie siły organizmu zapewne bezkarnie nie przejdzie: że znalazło się dziewięciu pustaków co na to nie zważali, także nic dziwnego, ale że nie brakło ochotników na stróżów do pilnowania warunków zakładu, to istotnie jest zdumiewające.

Drugą równą niedorzecznością, jakiej pominąć nie możemy, jest utworzenie się w Warszawie, pewnej ligi młodzieży, której członkowie pomiędzy sobą przed każdem zdaniem przy rozpoczynaniu rozmowy, obowiązani są powiedzieć wyraz „fort?"

Zapominający o tym przepisie, płaci za każdy raz 15 kop. kary, która idzie do ogólnej kasy. Powstały ztąd fundusz, obrócony ma być na ogólną ucztę.

Więc nawet cel jakiś pożyteczniejszy nie usprawiedliwia tej bezmyślnej zabawy.

W kwestyi oświetlania zdawało się, że gaz z naftą pobiwszy ongi z kretesem olej, opanowawszy domy i ulice miasta, spoczną spokojnie na laurach, i zaświecą prawnukom jeszcze tem samem światłem jakiem pradziadkom świeciły.

Tymczasem stało się inaczej.

Nafta w nowe kaukazkie palniki zbrojna, zaczepną rozpoczęła walkę.

Równe, jasne światło jej przyćmiło cokolwiek migotliwy gaz, że zaś cena była odeń niższa, więc gospodynie jednym wielkim chórem zawołały:

— Górą nafta.

Ale niedługo trwał tryumf nafty, bo oto przybysz z Dessau porobił w oświetleniu gazowem znaczne ulepszenia.

— Górą gaz! — wołała wówczas municypalność, wtórując obywatelom.

Wkrótce potem na bruku warszawskim ukazały się nafty gazowe „błyskawiczne", z pięknym, jasnym płomieniem, nierównie od gazu jaśniejsze i... tańsze.

Więc znów wołają:

— Górą nafta!

Pożółkły z zazdrości gaz obiecuje wprowadzić w użycie nowe, czterykroć bardziej podnoszące płomienie palników.

Jeżeli palniki owe, zwiększając w czterykroć światło, nie będą zarazem w czterykroć więcej zużytkowały gazu, a tem samem zyskają popularność, to wkrótce Warszawa zajaśnieje takiem blaskiem, iż pozostanie nam tylko wołać:

— Górą... okuliści!

Nowa szkoła rzemieślnicza. Pan Tadeusz Dowgird założył w Warszawie szkołę trzyklasową z kursem sześcioletnim, opartą na normalnej ustawie szkół miejskich, zatwierdzonej w r. b. Oprócz zwykłych przedmiotów, szkoła p. Dowgirda będzie uczyła stolarstwa i tokarstwa.

Pośrednictwo. Jeden z przemysłowców tutejszych wziął na siebie czynność pośredniczenia w nabywaniu przez firmy zagraniczne masła tak z Królestwa jak i z bliższych prowincyi Cesarstwa. Interes ten prowadzony jest na szerszą skalę.

Pierwszy transport towaru w ładunkach wagonowych w tych dniach opuści Warszawę.

Wchodzą obecnie w modę tkaniny ozdobione nietylko litografowanemi główkami aniołków, ale nawet już całemi scenami z popularnych operetek i bardziej znanych obrazów...

Tak więc niedługo będziemy widzieć nasze anioły przystrojone w „Pierścień rodzinny", „Mikada", a może nawet i „Piękną Helenę"...

Czy to będzie ładnie, to jeszcze kwestya, w każdym razie będzie nowe.

Stulecie konstytucyi Amerykańskiej. Na pamiątkę konstytucyi Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej z d. 17 Września 1787 r., urządzono w Filadelfii trzydniowe uroczystości, w obecności prezydenta Clevelanda, wszystkich gubernatorów Stanów Unii i przeróżnych deputacyi z całego kraju. Według programu miał się odbyć wielki pochód, ciągnący się 10 mil (angielskich) i przedstawiający stopniowy postęp przemysłu amerykańskiego w ciągu ubiegłego stulecia; rewia 30,000 wojska pod dowództwem generała Sheridana, zaś w sobotę 17 b. m. właściwa uroczystość pod gołem niebem, na placu Niepodległości. Przytem biskup anglikański Potter i katolicki kardynał Gibbon odprawili nabożeństwa i udzielali ludowi błogosławieństwo. Do odśpiewania kantaty uformował się chór z 600 osób.

Pojedynek z damą. Dzienniki amerykańskie donoszą: Miss Mary Childres, młoda a piękna nauczycielka, zamieszkała w mieście Trentin, dowiedziała się, że młodzieniec nazwiskiem John Mogois, rozpuszcza o niej krzywdzące wieści. Ponieważ potwarca wydalił się z miasta do miejscowości o 15 mil (angielskich) odległej, miss Mary uzbrojona w strzelbę, pojechała na miejsce i wyszukawszy winowajcę, lufą do piersi wymierzoną, zmusiła go do odwołania potwarzy i następnie cały fakt ogłosiła w gazetach. Mogois ze swej strony posłał odważnej pannie wyzwanie na pojedynek, Miss Mary przyjęła walkę i w oznaczonym czasie stawiła się ze swymi świadkami punktualnie. Ale nie stawił się John Mogois, którego widocznie opuściła odwaga, pojedynek więc nie przyszedł do skutku.

Kosztowne okrycie. Dla małżonki nababa amerykańskiego, pani Mackay, przygotowuje się w Paryżu na nadchodzący sezon jesienny okrycie z... brzuszków rajskich ptaków. Cena ptaka rajskiego wynosi 30 szylingów, brzuszek jego zaś ma 12 centimetrów szerokości i 18 długości, tak że na okrycie wyjdzie do 500 sztuk. Sam surowy materyał tedy na ten cenny płaszczyk, nie licząc zapłaty dwom strzelcom, specyalnie przez panią Mackay do Nowej Gwinei po rzadkie ptaki wysłanym, kosztować będzie 15,000 fr. Amerykańska milionerka nie potrzebuje się przeto obawiać, że znajdzie zbyt wiele naśladowniczek, które zpopularyzują jej tualetowy pomysł.

Kobiety na górze Mont-Blanc. W biurze przewodników w Chamounix znajduje się „Złota księga", w której są zapisywane godne uwagi wypadki, dotyczące podróży na górę Mont-Blanc. Między innemi przewodnicy zapisują skrzętnie imiona kobiet które się wdarły na szczyt najwyższej w Europie góry. Okazuje się ztamtąd, że od roku 1809 weszło na Mont-Blanc 61 kobiet, mianowicie 32 Angielki, 17 Francuzek, 4 Rossyanki, 3 Amerykanki, 2 Szwajcarki, 1 Niemka, 1 Dunka, 1 Węgierka, 1 Włoszka i 1 Austryaczka. Pierwszemi kobietami, które dosięgły szczytu góry, były 2 Francuzki.

Ogółem zaś na Mont-Blanc, o ile „Złota Księga" pamięta, weszło do dnia 31 Sierpnia r. b. 1,005 mężczyzn i kobiet.

Na Bukowinie to jak na pograniczu różnych narodów, w którem znać trzeba kilka przynajmniej języków, aby wzajemnie módz się z sobą porozumiéć.

Gazeta w Czerniowicach wydawana, dla scharakteryzowania języka tej prowincyi, pomieściła rozmowę jaką prowadzili dwaj Bukowińczycy pomiędzy sobą, spotkawszy się przypadkiem na wystawie krakowskiej, i pyta się w jakim ta właściwie prowadzoną była języku?

— Wie geht's? — pyta jeden.

— Servus! Całuję rączki! A tośmy się zdybali Jakżem szczęśliwy, żem tu einen Landsmann spotkałem. Kiedy pan przyjechał, proszę?

— Wczoraj eilzugiem. Wałęsałem się po tej mazurskiej wystawie, wie ein verirrtes Schaf. Gott sei Dank, żem pana dobrodzieja przydybał.

— Seraku! (Seraku, po rumuńsku nieborak). Aber jetzt werden wir ein gutes Gabelfrühstück suchen.

— Oho, ne zdurysz! Myśli pan, że oni tu mają co jeść? Patrzę, panie dobrodzieju, wczoraj w mieście napisano: „Pokój do śniadań". Aha, myślę sobie: ist gut. Mówię: daj mi pan kawałek podkowy, a on, proszę, wystawił na mnie oczy i nie wie, co to. Gadam tedy: A oliwek nie ma? On zawżdy panie, oczy w słup trzyma i powiada: „Tego towaru nie prowadzę, panie hrabio!" „Der Kerl weisst gar nicht, że u nas wcale nie ma hrabiów, jeno barony. W końcu wołam: Geben Sie mir wenigstens mołdawskiego sprycera. I tego nie rozumiał!

— Bihby go!

— Na ostatek dał kawałeczek gorącej kiełbasy na widelec, wie fur einen Säugling i nasypał naparstek węgierskiego wina. Sonderbares Volk! Dulczecy nie znają, obiad jedzą bez mamałygi, wino piją naparstkami... Panie dobrodzieju, ja tu już szympfuję od wczoraj, że jeden kann hier verhungern.

— A kto tu z naszych?

— Jest ich kilku wystawców, seraki dobrze się prezentują. Kommen wir, pokażę panu bukowińskie chomonta...

* * *

Jeden z dyrektorów teatru prowincyonalnego zjechał do jednej z pomniejszych miejscowości kąpielowych w Niemczech. Gdy jednak, ani operetki, ani komedye nie ściągały publiczności do teatru, dyrektor został zagrożony ruiną. Myślał długo czemby zwabić publiczność, aż nareszcie, korzystając z jubileuszu opery „Don Juan", kazał wydrukować i rozlepić afisze, zapowiadające przedstawienie tejże opery Mozartowskiej, w której główne partye miały wykonać same gwiazdy opery. Istotnie też afisz ozdobiony był nazwiskami głośnych śpiewaków włoskich, jakoby przybyłych do teatru w X. na gościnne występy. Publiczność była zaciekawioną, a gdy jeszcze i organ miejscowy zamieścił szumną reklamę, każdy spieszył zawczasu po bilet. Nadszedł wreszcie wieczór. Teatr był przepełniony, dyrektor patrzył z zadowoleniem przez otwór w kurtynie na doborową publiczność, która przecież raz zawitała w jego podwoje. Or-

kiestra zagrała znaną i piękną uwerturę; publiczność oczekiwała niecierpliwie podniesienia kurtyny. Nareszcie podniesiono ją, na scenie panował zmrok. Po chwili zjawił się na niej „Don-Juan” zasłonięty białym płaszczem tak, że ledwie nos jego było można widzieć, a za nim „Donna Anna” zupełnie zawoalowana.

Zaledwie odśpiewali pierwszą scenę, wyszedł na scenę Komtur i skrzyżował z „Don-Juanem” szpadę. Rozpoczął się pojedynek, który wkrótce przybrał szybkie tempo.

Naraz „Don-Juan” zachwiał się i upadł a Komtur ciągle walczył. Nim publiczność mogła się domyśléć, co się stało, kapelmistrz zapukał, zasłona spadła. Przed nią, na proscenium zjawił się zafrasowany dyrektor i tonem grabarza zaintonował: Wskutek nieostrożności w czasie pojedynku, nasz sławny gość został tak skaleczonym, iż nie może wziąć udziału w dalszem przedstawieniu. Jesteśmy zatem zmuszeni przerwać „Don-Juana”, a w zamian za to dać „Kawalera z fiołkami”.

Publiczność szemrała, dyrektor jednak dopiął celu: kasa była pełną. Nikt jednak nie widział ani przyjazdu, ani odjazdu sławnych gości.

* * *

Amerykańska reklama. W jednem z pism newyorskich czytamy: „Kapitan William Crakson i inżynier Filip Metrckins, mieli się pojedynkować. Ponieważ ostatniemu przysługiwał wybór broni, więc zażądał pojedynku na... dynamit. Bardzo wcześnie w dniu oznaczonym pojawili się na polu walki obaj zapaśnicy, z których każdy miał przy sobie 5 patronów dynamitowych. Świadkowie wleźli wtedy na najwyższe drzewa i pojedynek rozpoczął się... Dwa pierwsze patrony żadnego nie wywarły skutku; natomiast trzeci wybuchnął w sposób straszny, okropny. Świadkowie corychlej zleźli wtedy z wysokich swych punktów obserwacyjnych. Crakson leżał zmiażdżony, a Metrokins znikł z ziemi. Z pojedynkowiczów ocalały jedynie... buty, którym nic się nie stało. Pochodzą one z fabryki firmy X... i comp. Świadkowie wtedy orzekli, że honorowi stało się zadość.”

* * *

— Dlaczego nie żenisz się? — pyta Ypsylon Iksa.

— Chętniebym to zrobił, ale widocznie nie mam szczęścia do kobiet.

— Jakto?

— A tak, bo już trzeci raz dostałem odkosza.

— Słyszałem jednak, że się znów masz oświadczyć?

— A tak.

— Będzie to więc już po raz czwarty.

— Naturalnie!

— Winszuję...

— Nie masz czego, bo robię to jedynie dlatego, że wiem na pewno iż dostanę czwartego odkosza.

* * *

Uczeń rzeźniczy pisze do ojca:

„Kochany ojcze! Mój majster jest ze mnie bardzo zadowolony, trzy razy pozwolił mi zakłuć i powiedział, że gdy dalej będę takim pozwoli mi zarznąć. Gdyby mi kochany ojciec przysłał *na pamiątkę* sera, chleba i garnuszek masła tobym bardzo się ucieszył, bo majstrowa daje nam chleba za mało a sera i masła nigdy.

RÓŻNE MYŚLI.

Prędko zrobiony majątek jest często owocem niedojrzałym.

La Bruyeré.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Zamieszczonej w 37 numerze Tygodnika Mód.

Ubranie spacerowe. Na spódnicy morowej koloru rdzawo czerwonawego, włożone vetement z gładkiego popielatego sukienka, z kołnierzem, mankietami i kieszonkami morowemi. Wysokie podpięcie vetement odsłania wokoło spódnicę.

Ubranie domowe. Suknia wełniana brązowa, ma bok z materyału jasno piaskowego w pasy ciemniejsze i kolorowe prążki jedwabne. Upięcie tylne z prostych brytów, zakończone wzdłuż brzegów bocznych obłożeniem morowem w górze przypiętem klamrą i zwróconem do przodu na baskinie stanika. Kołnierzyk stojący morowy, mankiety z mory i materyału w pasy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Wł. T. Piosenki dwie będą ogłoszone. Najlepsza druga, ale zaraz pierwszy w niej wiersz niezmiernie drażliwy i dlatego korzystać z niej nie możemy. Z innych *Dym* i *Do dziewczęcia* zostaną ogłoszone.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 39 wyszedł z druku i zawiera:

Narcyza Żmichowska. — Zasadzka myśliwych na renifery (drzew.) — Na smoczej górze. — W maju (wiersz). — Dobra córeczka (drzew.) — Araukanie (z drzew.) — Mała książeczka. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Opowiadanie o kogucie Szałapucie. — Dla miłości matki (wiersz). Małpozwierz wysmukły ceylański (z drzew.) Kłopot (wiersz). — Pobyt Olesia na wsi. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI

w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę. Warunki są w nagłówku pierwszej kolumny.

PRZYJACIEL DZIECI

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

Prenumerata pozostaje ta sama i wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. **1**. Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. **1** kop. **25**. Półrocznie rs. **2** kop. **50**. Rocznie rs. **5**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Сентября 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

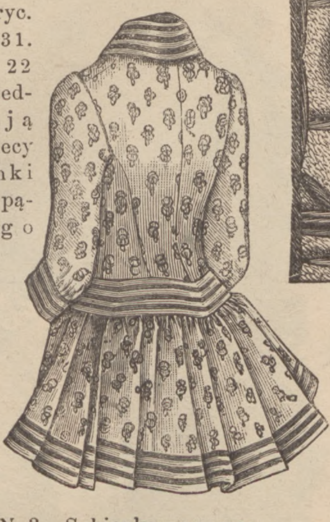
Dodatek.

Opis do N-ru 39.

(Dokończenie).



N. 2. Plecy do ryciny 23.



N. 3. Sukienka z ranwersami dla dziecka lat 3—5. Patrz ryc. 4.

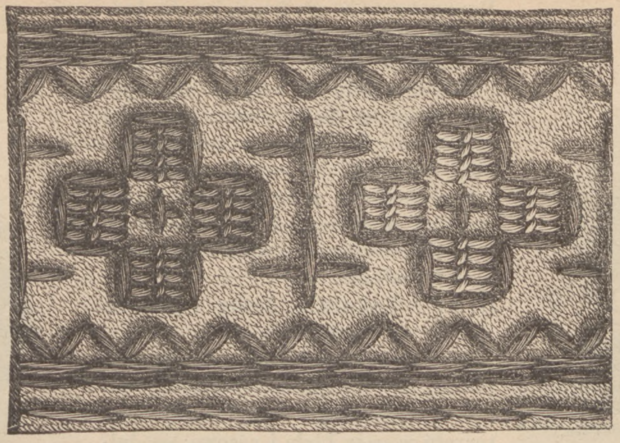
N. 22 i 37. Sukienka z bluzą, dla panienki lat 10—12. Krój podług ryc. 39 w N. 31. Ryciny 22 i 37 przedstawiają przód i plecy sukienki uszytej z pąsowego szwajcarskiego perkalu i żółtawego zephyru w rzucik z pąsowych kotwic; oryginalne szlaki stanowią naprzemian dane okręta, majtkowie i kotwice. Bluza otwarta z przodu dopełniona deseniowym plastronem, ma wykrój szyi wszyty w kołnierz marynarski z pod którego spadają ranwersy zwężone do dołu; przody bluzy opuszczone są w bufę, plecy krają się na długość zwykłego stanika. Spódniczka 58 cent. długa, 155 cent. szeroka dana z gładkiego perkalu, przykryta dwoma marszczonemi deseniowemi wolantami po 38 c. długości. Na upięcie dane z przodu potrzeba dwóch brytów po 35 cent. szerokich, z których jeden 112 cent. długi zebrany w fałdy poprzeczne, tworzy draperyę a drugi tylko 97 cent. długi upięty jest z tyłu nakształt szarfy. Bufiaste rękawy wszyte w pasek 13 c. szeroki, 22 długi. Pończochy pąsowe, trzewiczki wycięte i długie czarne mitenki.



N. 6. Szlafroczek przybrany wszywką szydełkową. Patrz ryc. 5 i 16—17.

N. 24. Suknia z kokardami.

Odrobiona z jasnego wełnianego materyału ma tunikę z brytów prostych, u góry sfałdowaną i wszytą w pasek, z boku otwartą podług ryc. 24, a poniżej (30 cent. od paska) podpiętą w górę kokardą. Krótki stanik ma szeroki plastron aksamitny i przody przymarszczone na ramionach; fantazyjne upięcie kokard widoczne jest na rycinie. Kapelusz ma z boków wysokie ronda, podpięte wstążką związaną w kokardy na wierzchu główki.



N. 1. Szlaczek do ryc. 8 w N-rze 38.



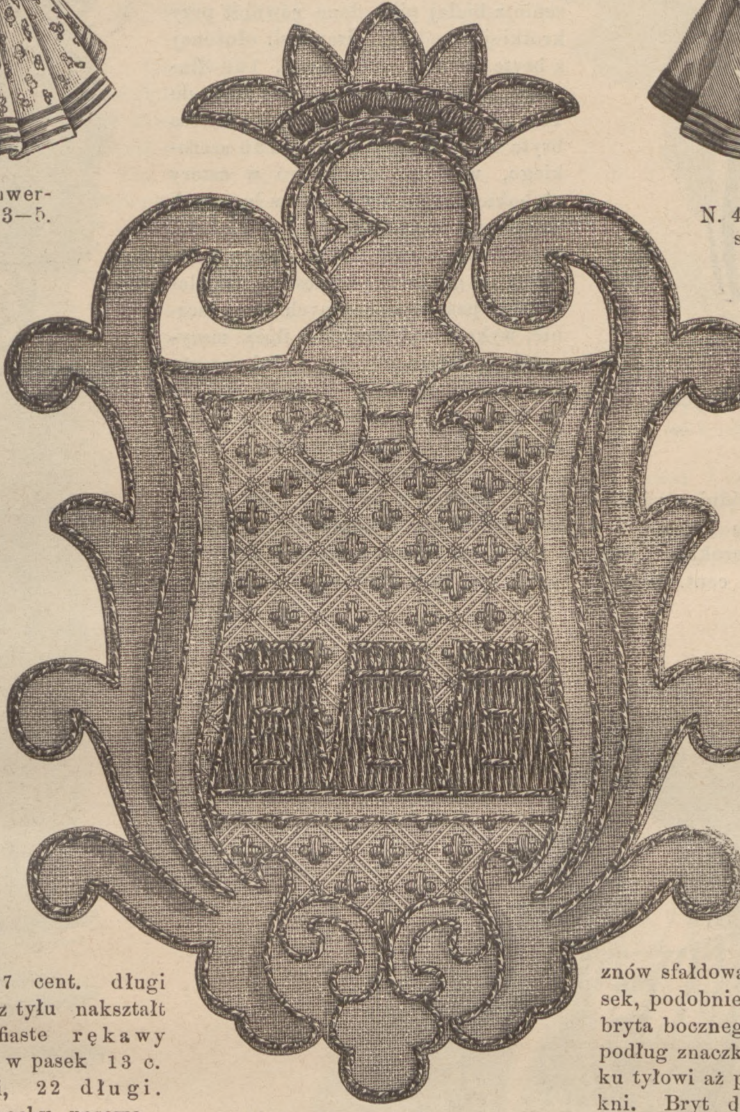
N. 4. Sukienka z ranwersami. Patrz ryc. 3.



N. 5. Plecy do ryc. 6

N. 25. Szlak siatkowy.

Odpowiedni do firanek, serwet i t. p. może być odrobiony w różnych kolorach, model był niebieski z białym, można go odrobić złotem na tle białem. Szerokość szlaku zależy od grubości wałeczka na którym siatka robiona, a stosować się powinna do materyału przy którym będzie użyty. Dolny brzeg zakończony w zęby jest dla mocy odziergany.



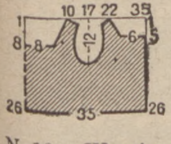
N. 9. Tarcza haftowana.

N. 26, 40 i 12. Suknia z tuniką odmiennie z boków podpięta.

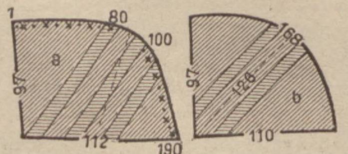
Przy sukni z gładkiego i deseniowego wełnianego muślinu lub krepy, kamizelka, kołnierz i mankiety dane z materyi odpowiedniego cieniu a przybranie stanowią jedwabne pentelki i guziczki. Wymiar brytów w draperyi wypisany jest na ryc. 12; przedni bryt a, którego środek oznacza linijka kropkowana, jest od 1 do 33 sfałdowany w brzegu górnym, do 73 gładki, dalej do 1 znów sfałdowany i wszyty w pasek, podobnie jak górny brzeg bryta bocznego b, sfałdowanego podług znaczków i przyszytego ku tyłowi aż przy rozporku sukni. Bryt d stanowi krótką



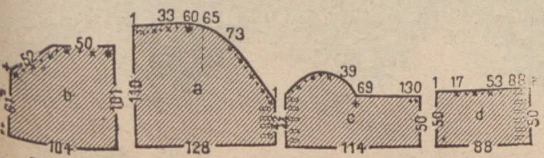
N. 7—8. Paletot z kapturkiem. Wyszycie sutaszem patrz ryc. 44.



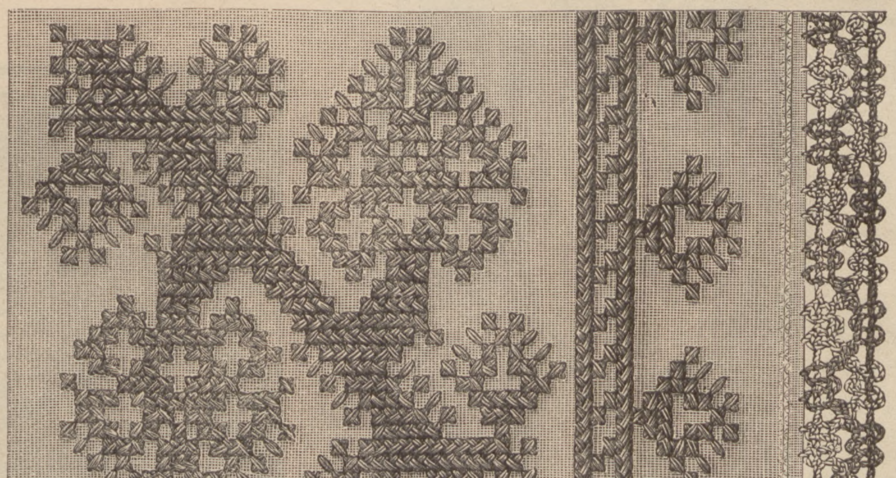
N. 10. Wymiar kroju staniczka do ryc. 42.



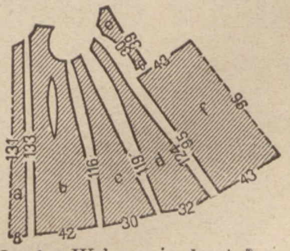
N. 11. Wymiar draperyi do sukni ryc. 28 i 39.



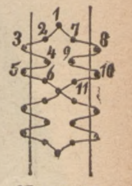
N. 12. Wymiar draperyi do sukni ryc. 26 i 40.



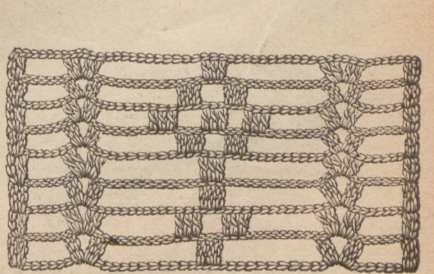
N. 13—14. Narożnik ściegiem włoskim plecionym i koroneczka. Patrz ryc. 15.



N. 16. Wskazanie kroju do ryc. 16.



N. 15. Napięcie deseniu na koroneczkę do ryciny 14.



N. 17. Wszywka szydełkowa do ryc. 6.



N. 18. Sukieneczka z bluzką dla małej dziewczynki. N. 19. Sukieneczka wycięta.

część zwierzchnią sfałdowaną od 17 do 53 a z boków spadającą gładko. Boczny bryt b od krzyżyka do dwukropka zeszywa się z tylnym brytem c, którego górny brzeg zaokrąglony i sfałdowany do 39 wszywa się w pasek, dalej zaś do 69 przyczepia przy rozporku. Kaftanikowe przody stanika otwierają się na kamizelce, w górnej połowie pokrytej marszczoną materyą, w dolnej jak to widać na r. 26, skrzyżowanej z dwóch zaplisowanych kawałków.

N. 27. Suknia z bluzką i paskiem Medicis.

Rycina 27 przedstawia ubranie odpowiednie dla młodej panienki, odrobione z letniego bawełnianego materyału w pasy białe i różowe; spódnicę zakończa 18 cent. szerokie obłożenie z białej piki, dane również przy krótkiej przedniej draperyi, ułożonej z bryta 80 cent. szerokiego, 120 długiego, z boków zebranego w fałdy do 15 cent. Na tylne upięcie potrzeba bryta 106 cent. długiego, 150 szerokiego, w górze złożonego w cztery głębokie pukle, a z brzegów bocznych podpiętego w pukiel 20 cent. głęboki. Stanik bluzkowy, lekko przymarszczony na gładkiej podszewce, ma plastron z pasów obróconych poprzecznie; wykrój szyi wszyty w duży marynarski kołnierz pikowy; z piki uszyty jest pasek Medicis w który wszywa się fiszbiny.

N. 28, 39 i 11. Suknia z długą tuniką fartuszkową.

Odrobiona z blado niebieskiego batystu, ma spódnicę z jednej strony ułożoną w fałdy 10 cent. szerokie, (patrz ryc. 39) z drugiej zaś podług ryc. 28 do 55 cent. wzdłuż ozdobioną wszywkami 4 cent. szerokiemi, przedzielanemi pasami batystu 10 cent. szerokiemi, w górze zaś aż do paska zaszyta w drobne zakładki. Dolny brzeg sukni zakończa koronka 12 cent. szeroka, spadająca na równie szerokie plisowanie, dane przy satynkowej spódnicy. Na ryc. 11 litera a oznacza draperyę przednią, linie skośnie cieniowane wskazują wszycie wstawek, danych i w tylnym brycie; górny brzeg przodu sfałdowany podług znaków wszywa się w pasek, podobnie i zaokrąglony w górze brzeg boczny. Tylne upięcie wymaga dwóch brytów wymierzonych podług *b* i zestawionych w odwrotnym kierunku, których brzegi zaokrąglone przymarszczyć trzeba ściśle do 8 cent. i wszyć w pasek. Kokardy z niebieskiej atłasowej wstążki. Przody stanika przymarszczone są na gładkiej podszewce podług ryc. 28 i spięte kokardami; środkiem pleców wszyta koronka podług ryc. 39; podłużny wykrój szyi ogarnirowany szeroko wyłożoną koronką.



N. 22. Suknia z bluzą dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 37. N. 2[illegible] [illegible]nia formą princesse. Patrz rycinę 2. N. 24. Suknia zdobna kokardami.

N. 29. Suknia z tuniką podpiętą w bufy.

Odrobiona z materyału w paski, ozdobionego na przednim brycie rzucikiem haftowanym; bryt ten złożony jest w kontrafałdy po 15 cent. szerokie, u dołu ogarnirowane koronką i przepięte kokardami. Krótka przednia draperya bufiasto spuszczona, jest u dołu przyszyta na sukni szwem odwracanym, w górze zmarszczona i wszyta w pasek. Dwa bryty tylne przypięte kokardami na baskinie stanika liczą po 60 cent. szerokości a po 153 długości. Stanik przybrany koronką. Kokardy i upięcie z wstążki z pikotami 6 cent. szerokiej.



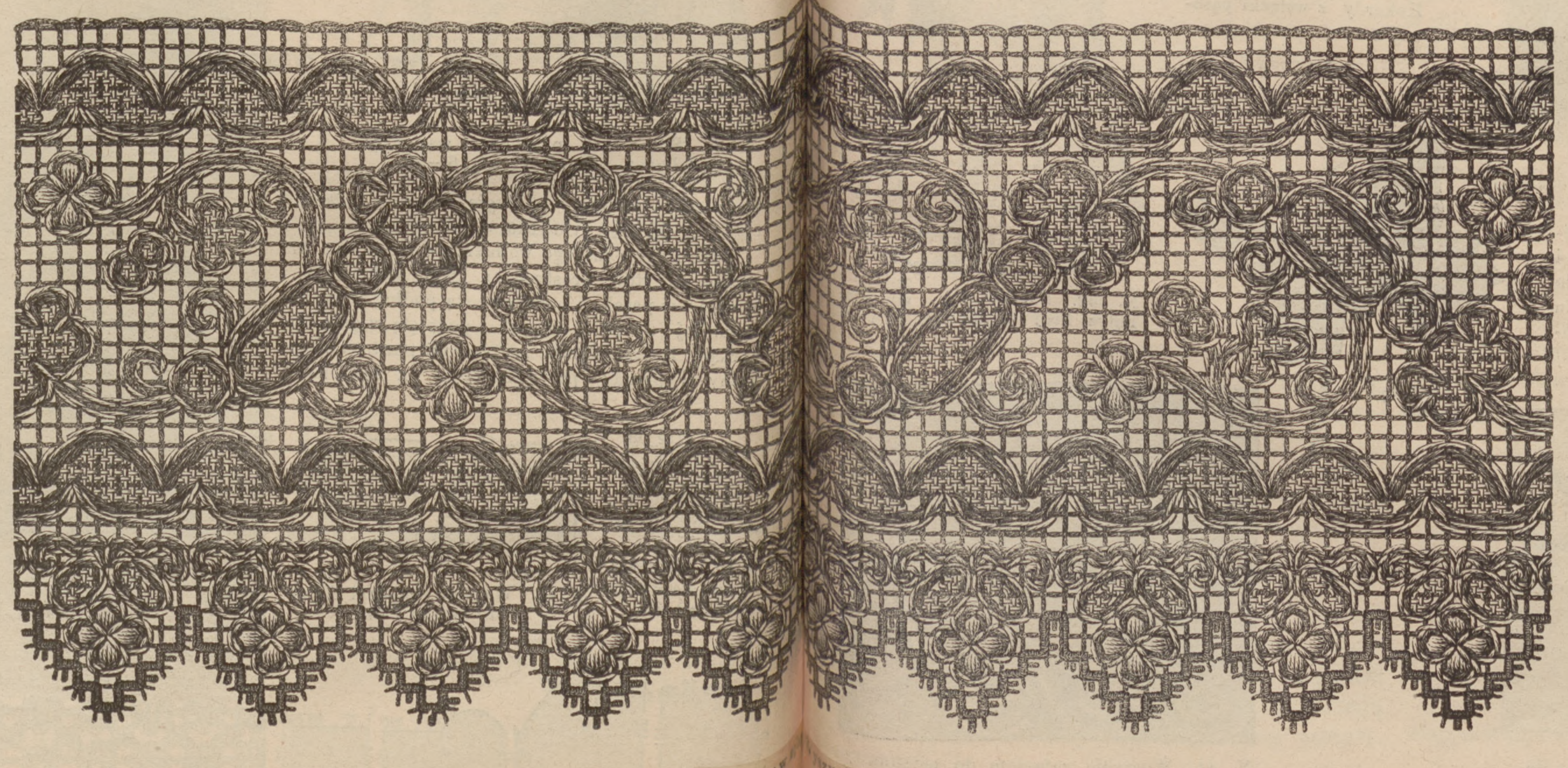
N. 20. Sukienka z szarfą zamiast draperyi dla dziewczynki lat 6—8. N. 21. Sukienka wyszyta sutaszem dla dziewczynki lat 4—6.

N. 30. Przybranie z pletni i roboty szydełkowej, do sukien.

Odpowiednie do sukien jesiennych, składa się z wełnianej pletni i grubego jedwabiu tego samego koloru, grubość wskazuje ryc. 30. Deseń trzeba narysować na ceratce i podług niego przyfastrygować pletnię, zaszywając ją na zgięciu zębów a nitkę przeprowadzając niewidocznie od spodu. W zagłębieniu



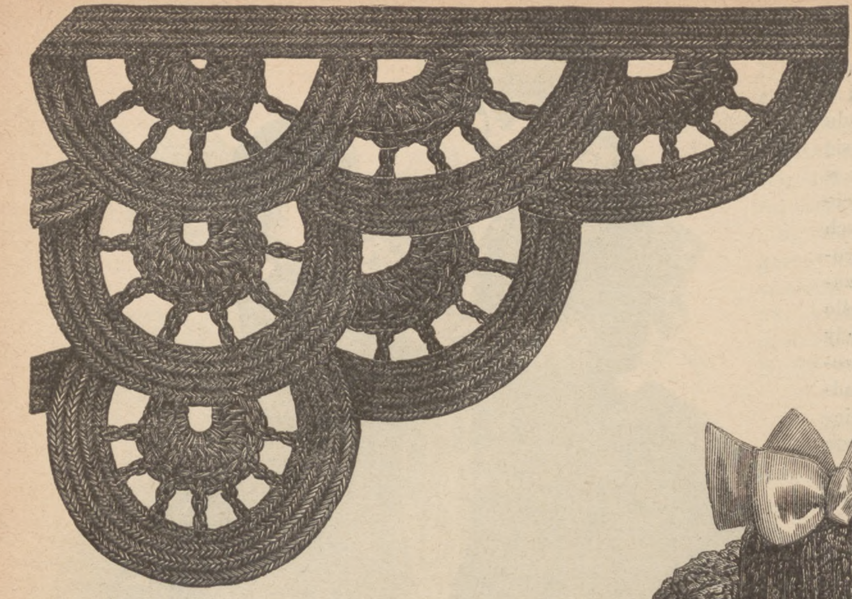
N. 26. Suknia z tuniką odmiennie z boków podpiętą. Patrz ryc. 40 i 12. N. 27. Suknia z bluzką i paskiem Medicis.



N. 25. Szlak siatkowy w [illegible]ycie kolorowe.

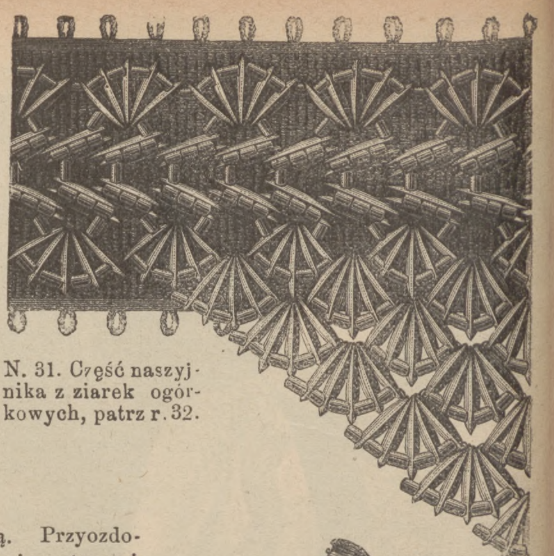


N. 28. Suknia z długą fartuszkową tuniką. Patrz ryc. 11 i 39. N. 29. Suknia z draperyą podpiętą w bufy.

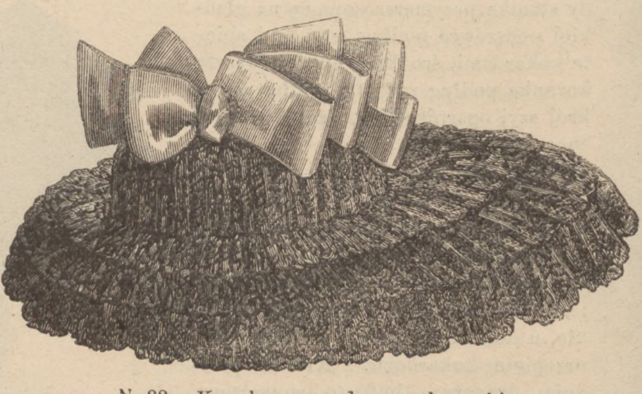


N. 30. Przybranie z pletni i roboty szydełkowej do sukien.

każdego zęba robi się półkole szydełkowe liczące 1 o. śc. w taśmę 5 o. łańcuszkowych, 1 o. śc. w taśmę odwróciwszy robotę robić 2 o. pow. 1 o. śc. zajęte w taśmę, 12 sł. i znów odwróciwszy robotę, robi się 7 sł. czepianych za taśmę zęba.



N. 31. Część naszyjnika z ziarek ogórkowych, patrz r. 32.



N. 33. Kapelusz ogrodowy z koronki.



N. 32. Narożnik z ziarek ogórkowych. Patrz r. 31.

N. 34—35. Notesik zdobny deseniem wypalanym kwasem.



N. 34. Notesik z deseniem wypalanym. Patrz ryc. 35.

Deseń przedstawiony w naturalnej wielkości na ryc. 35 daje się zastosować do malowania na kości słoniowej do wypalenia na drzewie lub wypalenie kwasem na tafelce metalowej. Brzegi tafli ujęte są w ramkę oklejoną pluszem podług ryc. 34.

N. 36. Sukienka à la Bretonne, dla panienki lat 8-10.

Uszyta z białej voile ma spódniczkę złożoną w płaskie fałdy i przyszytą szwem odwracanym do brzegu stanika, zapinanego z boku na kryte haftki. Przody zakończone podłużnemi fałdami, dopełnione są plastronem i ozdobione guziczkami à la Bretonne, w górze mają duży szalowy kołnierz. Plastron przymarszczony jest do gładkiego karczka poniżej marszczenia przepięty prostą patką. Przyozdobienie stonowi hafcik kolorowym jedwabiem.

N. 42—43 i ryc. 10. Sukieneczka wycięta.

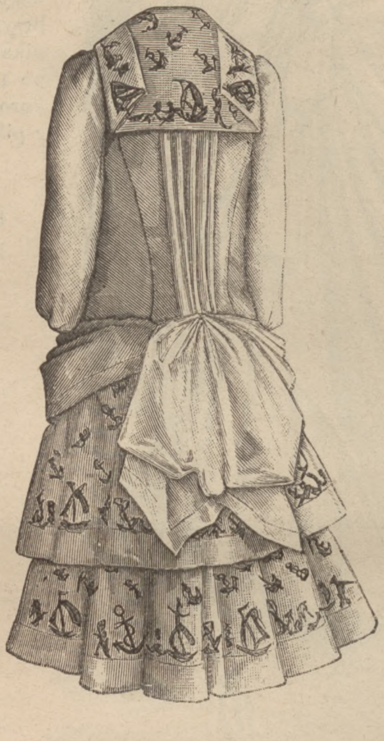
Uszyta z białego materyału ozdobiona haftem ściegiem płaskim (ryc. 43) bawełną lub jedwabiem koloru oliwkowego i pąsowego. Staniczek zapięty z tyłu na guziczki, kraje się w jednym ciągu podług wymiaru podanego na ryc. 10, gdzie linia kropkowana oznacza środek przodu. U góry odziergane są ząbki i obrobione dziurki do przewleczenia wstążeczki. Spódniczka 28 cent. długa, 164 szeroka, haftowana do połowy długości marszczy się w górze i przyszywa do stanika. Kokardy z wstążki pąsowej 3 cent. szerokiej.



N. 36. Sukienka à la Bretonne dla panienki lat 8—10.



N. 35. Deseń do ryc. 34



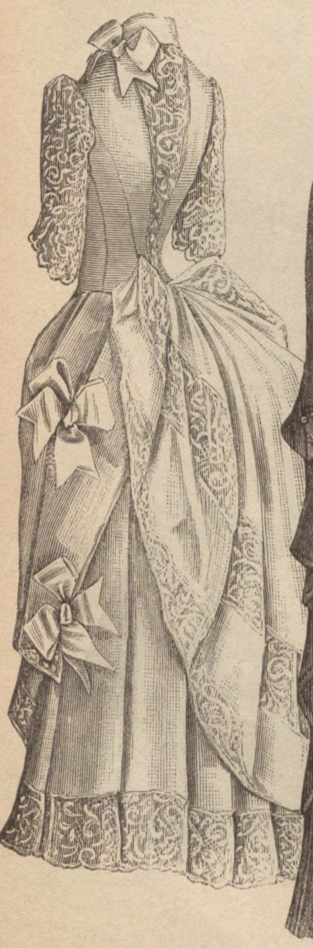
N. 37. Suknia z bluzą dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 22.



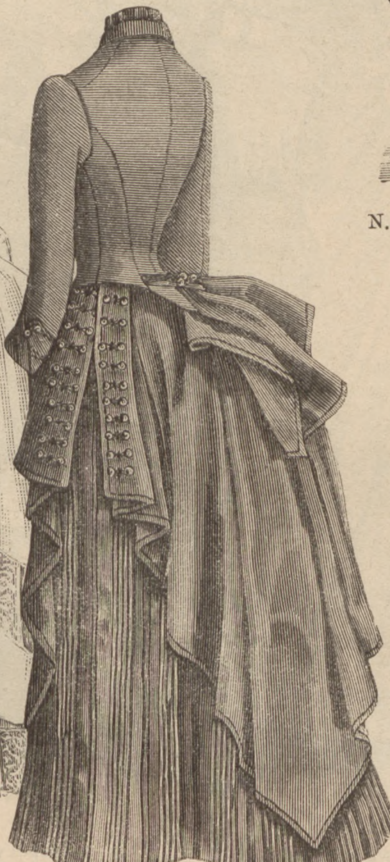
N. 38. Koszyczek zdobny ziarkami ogórkowemi.



N. 42. Sukieneczka wycięta. Patrz krój stanika ryc. 10 i 43.



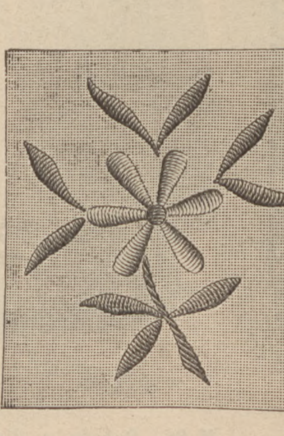
N. 39. Suknia z długą fartuszkową draperyą. Patrz ryc. 11 i 28.



N. 40. Suknia z draperyą odmienne z boków podpiętą. Patrz ryc. 12 i 26.



N. 41. Motyl z piórek.



N. 43. Rzucik haftowany do ryc. 42.



N. 44. Wyszycie sutaszem do paletota ryciny 7—8.